

ks. prof. Jan Sochoń

W miłości zdarza się wszystko

Gdyby ktoś z tutaj zebranych zapytał mnie: co w moim życiowym doświadczeniu sprawia mi niewysłowioną radość, a zarazem przydaje wiele trosk i – zwłaszcza duchowego – bólu, odpowiedziałbym bez chwili wahania: to miłość. Jej siła przejawia się przede wszystkim w konkretnym przeżyciu. Wszelkiego rodzaju teorie dotyczące miłości były, są i chyba zawsze będą czymś wtórnym wobec tego pierwszego, zmysłowo odczuwalnego faktu. Podobnie w porządku teologicznym: miłość stała się zaczynem świata. Bóg z miłości właśnie stworzył nas, odkupił i zarysował szanse osiągnięcia wiecznego szczęścia.

U progu życia

Miłość przeto staje u progu ludzkiego bycia i nadaje najgłębszy sens wszystkim naszym poczynaniom. Dlatego powinna jak najgłośniej rozbrzmiewać, zarówno w każdym człowieczym sercu, jak i głębi (także doktrynalnej) Kościoła. W tym ostatnim zdaniu zawiesiłem nieco pewność w głosie, bo przecież miłość, raz dopadłszy człowieka, nie musi pozostawać w nim na zawsze. Promienie naszego serca, wplątane w cudze życie, często załamują się, gdyż napełniamy je egoistyczną wyniosłością. To właśnie budzi, jak zauważył Rainer Maria Rilke¹, największy niepokój. Moc miłości, po prostu, wyczerpuje się, a niekiedy gaśnie, chociaż czasownik „kochać” w żadnym z ziemskich języków, jak dotąd, nie wyszedł z użycia.

Nasz język polski nawiązuje w swym rdzeniu do zdobyczy leksyki greckiej i łacińskiej. Ona nadal, choć zapewne w coraz mniejszym stopniu, podskórnie kształtuje możliwości polszczyzny. Wyrazy „amor” i „caritas” są znane, ale już „pietas”, „dilectio” czy „studium”, które wskazuje na ten aspekt miłości, kiedy gorliwie, bez uprzedzeń zwracamy się do kogoś chcąc mu służyć i oddać siebie do dyspozycji, uległy widocznemu zapomnieniu. Najczęściej mówimy i plotkujemy o seksie, o „miłości erotycznej”. Mamy niemal we krwi greckie, o platońskim rodowodzie, bardzo wieloznaczne słowo: „Eros”. Należy je właściwie pojmować jako skłonność do tego, co intrygujące, piękne, najszlachetniejsze, a czego źródłem jest naturalnie ludzkie ciało, ale również, i przede wszystkim jako

¹ R. M. Rilke, *Druga strona natury. Eseje, listy i pisma o sztuce*, tłum. T. Ososiński, Warszawa 2010, s. 148.

to, co wzbudza upojenie pochodzące od Boga; to siła pozwalająca wznieść się do oglądania tego, co boskie. Niestety, współcześnie uciekamy nawet i przed Erosem, i seks, nastawiony w pierwszym rzędzie na pomnażanie, niemożliwego do całkowitego zaspokojenia pożądania, pomaga nam w tej ucieczce.

Mimo to staramy się pozostawać w amabilnym, czyli godnym miłości blasku i ten blask odzyskiwać, gdyż chcemy żyć pełnią życia, odważając się nawet miłośnie odnosić do Boga. Ci z nas, którzy takie próby umiłowania Boga podejmują, zachowują wszystko, co cenne, w swoim sercu; nie tracą z oczu tego, co zrobili wcześniej, i w ciszy kładą każde kolejne uczucie trochę wyżej, na tym, które ułożyli wcześniej.

Zgodnie więc z tytułem mojego wystąpienia proponuję na początku pewne opisowe ujęcie tego, czym jest miłość. Ukażę następnie, że jest ona zasadniczo wydarzeniem, i – w jeszcze dalszej kolejności – że w niej skupiają się treści, które określamy poręcznym i semantycznie otwartym słowem „wszystko”. Będzie to ujawnienie płynące głównie z mojej wewnętrznej praktyki, bez cienia, proszę wierzyć, jakiegokolwiek spekulacji.

Miłość poza definicją

Wychowani w tradycjach sokratejskich, przeprowadźmy następującą procedurę: wybierzmy się na warszawską agorę, czyli na Krakowskie Przedmieście i zapytajmy napotkanych tam ludzi: czym według nich jest miłość? Zgromadźmy najprzeróżniejsze odpowiedzi, wydobywając z nich to, co jest im wspólne. W ten sposób – wydaje się – będziemy w stanie podać definicję miłości, dotrzeć do jej istoty. Zdobyta o niej wiedza (zawarta w pojęciach ogólnych) sprawi, że natychmiast ogarnie nas miłosna aura i niepostrzeżenie wtopi się w naszą teraźniejszość.

Oczywiście, państwo zdajecie sobie sprawę, że tego rodzaju ekskluzywizm etyczny prowadzi na manowce. I choć Sokrates za swego życia przyciągał do siebie młode umysły i serca, pomagał im w dążeniu do prawdy, nam dzisiaj niewiele może w tym względzie pomóc. Przejmiemy od niego, co najwyżej, zmysł krytyczny, potrzebę ponawiania pytań i świadomość, że miłości nigdy analitycznie nie ogarniemy. Bo to ona sama zmusza do stawiania pytań, angażuje naszą wolę, wciąż się ukrywając, niejako ustawiając w tle. Gdybyśmy zdołali nad nią zapanować, to przecież wówczas zapanowalibyśmy nad samym Bogiem, który jest Miłością. A to zakrawa – mimo że zostaliśmy obdarzeni wolnością – na pychę graniczącą z pychą szatańską.

Cóż więc pozostaje? Zdać się na samą miłość, pragnąć jej, wręcz zabiegać o jej światło. Wiedzieć, że ona sama odsłania przed całym światem mnogie oblicza, ujmowane w różnorakie kategorie. Wchodzimy w jej wnętrze kochając na przykład rodziców, przyjaciół, nauczycieli; kochając żonę w małżeńskiej żarliwości, albo jakiegoś człowieka z tej racji, że ma taki sam sposób myślenia, jak nasz, a także włączając się w miłość najbardziej wymagającą i rzadką spotykaną, mianowicie świętą miłość tematyczną, kiedy dochodzi do wzajemnego miłowania się w Chrystusie i z Chrystusa – współspełnianie miłości Chrystusa do drugiego człowieka w jego niepowtarzalnej indywidualności.

Przykład takiej świętej miłości znajdujemy chociażby we wzajemnej relacji św. Franciszka Salezego i św. Joanny Franciszki de Chantal². Ale czy żywiłowy związek Heloizy i Abelarda należałoby włączyć do wspomnianego rodzaju? – tego już nie jestem pewien. W każdym razie wieloramiennność, stopniowalna intensywność, zakorzenienie w określonych sferach wartości, powoduje, że możemy czerpać z nieograniczonych zasobów miłości. Że w każdej sytuacji życia może nas ona owładnąć, gruntownie przemienić. Wiedzą o tym tylko szczególnie ci, którzy rzeczywiście doznali miłosnego żaru, odczuli nagły poryw olśnienia i wzajemnego, bezinteresownego oddania.

Miłość jako wydarzenie

Szczęściem jest móc stwierdzić, że miłość w całym swym bogactwie nie jest nam obca. Że nie sprowadza się tylko do spontanicznego pragnienia, choć bywa ono czymś nieodzownym, ale jest dogłębnym skierowaniem się ku drugiej osobie, zrodzonym w blasku dobra. Owo dobro już istnieje, nie musimy go tworzyć. Wystarcza z naszej strony wewnętrzne wychylenie, właściwa postawa woli. Dlaczego?

Otóż, na miłość warto spojrzeć jako na wydarzenie, podnosząc treść tego słowa ponad jego potoczny sens. By nie miało znaczenia "wypadku" czy „zdarzenia”, ale by wskazywało, że w miłości-wydarzeniu bezwarunkowo odkrywamy ideę donacji. Miłości bowiem sami nie tworzymy, pozostaje ona dla nas wyłącznie darem. Pragnąc jej musimy czekać. Nie jest to jednak i być nie może czekanie bierne, ale raczej wykorzystujące to, co w nas naturalne, a więc – potrzebę autentycznej komunikacji; – zdolność budowania relacji; oraz – kreatywność, czyli wysiłek przekraczania samych siebie, osobistych ograniczeń i

² Zob. D. v. Hildebrand, *Metafizyka wspólnoty. Rozważania nad istotą i wartością wspólnoty*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 2012, s. 77-78.

słabości. Spotkanie z drugim człowiekiem wydarza się jako niespodziane, w pewnym sensie przypadkowe, nieoczekiwane. Zawsze jednak zawarte jest w nim ziarno wzajemnej afirmacji, obopólnego wzbogacania się swoją osobową indywidualnością.

Odwołam się teraz do czasu, kiedy byłem jeszcze chłopakiem nieporadnie stawiającym pierwsze życiowe kroki. Pewnego razu ubrany w czarny garniturek i koszulę z kołnierzykiem *à la Słowacki* przyszedłem z mamą Franciszką do parafialnego kościoła w Wasilkowie na czerwcowe nabożeństwo. Odprawiał je młody wikary, ks. Piotr Bożyk – wychowawca i spowiednik przyszłego błogosławionego Jerzego Popiełuszki. Świeciło słońce, w powietrzu wirowały kropelki wody. Nad naszymi głowami pojawiła się tęcza. Podczas modlitwy patrzyłem na księdza Piotra z uwagą. On również spoglądał na mnie – o czym wtedy nie mogłem wiedzieć – w sposób wyróżniający, z jakąś tajemną wizją przyszłych dni. Po zakończonej liturgii natychmiast wybiegł ze świątyni i podszedł do mojej mamy, mówiąc: proszę Pani, bardzo chciałbym włączyć Pani, jak domyślam się, syna w poczet ministrantów. Proszę, niech zjawi się jutro na plebani, gdzie organizuję ministrancką zbiórkę.

Następnego dnia zapukałem do drzwi przestronnego, zbudowanego w dawnym polskim stylu dworku. Znalazłem się w pomieszczeniu, z oddzieloną zasłonami częścią sypialną, gdzie dostrzegłem taboret z dużą misą do mycia się. Na środku znajdował się okrągły stół, telewizor, półki z książkami i biurko, uginające się pod ciężarem gazet, papierów i różnych innych rzeczy, których przeznaczenia na pierwszy rzut oka nie rozpoznawałem. Niemal tuż przy drzwiach stał fotel, na którym później wiele razy przesiadywałem, przeglądając albumy i książki.

Nie pamiętam, o czym w tamten niebywały dzień rozmawialiśmy. A zresztą, niemal cały czas słuchałem, rozglądałem się wokoło z ciekawością i pewnym lękiem, bo sytuacja wyraźnie przekraczała wymiary mojego dotychczasowego świata. Nagle zaczął padać deszcz, na horyzoncie błyskał ogień, trzaskały pioruny. Musiałem zostać nieco dłużej z księdzem Piotrem, aż niebo się uciszy, złagodnieje wiatr. Odtąd plebanię uznałem za drugi dom. Rozpoczęło się kształtowanie mojego życia w przestrzeni kultury przykościelnej i pierwsze dni największej przygody, jakiej miałem doznać, zwieńczonej łaską kapłaństwa. Coraz głębiej rozpoznawałem, czym jest, a może skromniej mówiąc, czym powinna być miłość. Że bez niej niewiele będę wart i niewiele w przyszłości osiągnę.

Do dzisiaj pozostaję w serdecznych relacjach z księdzem Bożykiem, starając się wspierać go w latach nie zawsze dogodnej starości. Teraz bowiem rozumiem, że miłość to znamienna, ofiarna więź, w której nie szczędzi się trudu dla dobra ukochanej osoby. Nawet jeżeli niezbyt często możemy być razem (a miłość domaga się bliskości), to znajdując się wiele kilometrów od siebie, zachowujemy duchowy spokój, skierowując wzajem ku sobie gorący, niezbyt określony strumień; polecamy się też często Bogu w modlitwie. Miłość i modlitwa zająbiają się bowiem w uścisku, jakim jest miłość samego Stwórcy, która niczego nie wyklucza, a wszystko w sobie zawiera. Równocześnie jednak staje się krucha, pokorna, jakby była nieobecna. Obejmuje, a nie wiąże, jednoczy, ale nie zmusza. Kocha, nie przekreślając ludzkiej wolności.

Przeżycie przynależności

W autentycznej, szczerzej miłości to, czego się doświadcza ma zindywidualizowaną formę. Osoby obdarzające się miłością karmią się nią samą niejako w jej wnętrzu. Nikt inny nie jest w stanie tej swoistej pracy powtórzyć. Ta osobista pieczęć, jaką przystawia miłość do serca i ciała miłujących się osób jest, by tak nazwać, nie do podrobienia i nie do naśladowania. Wszystko, co jest w takiej więzi zgodne z regułami samej miłości zostaje zachowane na wieczność, gdyż miłość jest wieczna. Wspomniana zasada pozwala przybliżyć dogmat o zmartwychwstaniu ciał. Dzięki uprzedzającemu czynowi zbawczemu Chrystusa, poprzez miłość pozbawioną egoizmu i grzechu, ciała kochających (się) osób przemieniają się w ciała „duchowe”. Oznacza to również przebóstwienie wszystkich podejmowanych przez nich spraw i czynności, a może i uduchowanie całego kosmosu, co w swoich pismach zdaje się sugerować św. Paweł³.

Skoro tak, prawda o ludzkim życiu, o logice istnienia odsłania się najjaśniej we wspólnocie. Pomyślmy: czyż do osiągnięcia szczęścia sami sobie wystarczymy? Już pierwsze karty Biblii przeczą tego rodzaju insynuacjom, sugerując, że miłość wyróżnia się czymś, co można byłoby nazwać przeżyciem przynależności. W jej przebiegu dochodzi do swego rodzaju stanu wyrwania tego oto konkretnego człowieka z samego siebie i „pociągnięcia” ku przedmiotowi miłości. Lecz wstępne poznanie, upodobanie, zauroczenie czy atrakcyjność estetyczna bądź nawet widoczna wrażliwość duchowa, nie wskazują jeszcze na miłość, ponieważ dotyczą tylko zewnętrznego osoby.

³ Por. M. I. Rupnik, S. S. Averincev, *Adam i jego żebro. Duchowość miłości małżeńskiej*, tłum. B. Żurowska, Kraków 2008, s. 24-26.

Dopiero, gdy owo „przyłgnięcie” obejmie samą osobę, wówczas mamy do czynienia z doznaniem przynależenia. Ponieważ jednak nikt z nas nie potrafi bezznakowo, w sposób bezpośredni przekazać drugiej osobie zawartości swych myśli i stanów emocjonalnych, dlatego musimy troszczyć się o miłość, dbać o nią, ofiarować komuś innemu swoje „wszystko”, to coś, co w nas wyjątkowe, jedyne. Z tej sytuacji bierze się pewien niepokój, wiążący się ze środkami, jakie stosujemy, aby wyrazić intymność miłości, która ze swej natury wymyka się sidłom ukutym przez jednoznaczność, ale ulega, jeżeli wolno tak określić, powabom językowej analogii.

Tym bardziej że gesty życia mają powtarzalny charakter; zarówno te dobre, jak i te złe. Nie da się przecież wyrazić dogłębnie żadnego doznania w jednorazowym akcie. Gdyby było to możliwe, wystarczyłoby osobie, którą się kocha, raz tylko powiedzieć: „Kocham cię” i sprawa byłaby zakończona. Ale tak nie jest. Musimy nieustannie ponawiać znaki życzliwości, wciąż od nowa budować szlaki porozumienia, nieustannie przebaczać. Tego rodzaju postawa wynika przede wszystkim z altruizmu, kiedy gotowi jesteśmy zrezygnować z dobra własnego na rzecz dobra drugiej osoby.

Ale nie jest to łatwe. Niekiedy „używamy” innych ludzi jako środka prowadzącego do osiągnięcia prywatnych celów; nie chcemy poznawać prawdy o nich, zatrzymując się na niesprawdzonych opiniach, donosach, przypuszczeniach. Skoro jednak domagamy się, aby traktowali nas oni poważnie, zgodnie z godnością wpisaną w nas przez Boga, my również powinniśmy odwzajemniać się im podobną życzliwością, choćby tylko na zasadzie honorowej równowagi.

Miłość doświadcza wszystkiego

Miłość nie ma powodów, aby milczeć. Wciąż słyszymy jej głos, nie tylko w głębi swoich serc, ale również w najdrobniejszym pyłku, na dnie jeziora, w liściach, kiedy wiosna zakwita wraz z nami. Miłość nie daje się zagłuszyć, co najwyżej zbanalizować bądź sprowadzić do prymitywno-pragmatycznych wymiarów. Łatwo, co prawda, podlega zranieniu czy obumarciu, ale od chwili zaistnienia zna swoją wieczną miarę. Jej silny charakter polega za tym, że stanowi akt, w którym wola każdego z nas jednoczy się i sprzymierza z radością i dobrem drugiej osoby⁴. Powinniśmy przeto dokonywać takich egzystencjalnych wyborów, by jej nie zaprzepaścić w codziennej plątaniu

⁴ J. Pieper, *O miłości, nadziei i wierze*, tłum. I. Gano i K. Michalski, Poznań 1983, s. 98.

spraw, marzeń, konieczności i zobowiązań. Obyśmy mogli spełnić tę wymagającą, dającą trwałe ukojenie powinność. Nie bali się powtarzać za św. Augustynem: *Pondus meus amor meus* – moją siłą ciężenia jest miłość moja⁵. Miłość otwarta na nadprzyrodzone wejrzenie Bożej miłości (*agape*), które dokonuje takiej przemiany ludzkiej miłości, że staje się ona zdolna do całkowitego oddania drugiemu, już poza oddziaływaniem niedomagań, w które, chcąc nie chcąc, zawsze jesteśmy uwikłani. Wyrażmy tę nadzieję w poetyckiej dykcji:


Nic nie jest tak czułe,
jak dłoń późną nocą,
jak słowo wcielone,
szczerze i oddane.

Dlatego właśnie
szukam potwierdzenia,
by miejsce po mnie
nie było zbyt puste.

By garstka popiołu
śpiewała na wietrze,
by nikt nie zasmucał
nadchodzącej wiosny,
która przychodzi
od wieków, bezgłośnie.

Nic nie jest tak czułe,
nic tak życiodajne,
jak miłość, odwiecznie
młoda, niespodziana
zawsze, każdemu
dana z inną czasu datą,
z innym spojrzeniem,
z inną porą roku,
tak, byśmy wszyscy byli
wyróżnieni, każdy z osobna,
każdy godzien chwały,

⁵ Święty Augustyn, *Wyznania* 13, 9, tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1987, s. 343.



każdy radosny i uspokojony.

Nic nie jest tak czułe,
tak zabezpieczone.